

Niezwykły i intrygujący reportaż o świecie pod światem, który znamy.
„Kirkus Reviews”

PODZIEMIE

ŚWIAT POD NASZYM STOPAMI

WILL HUNT



MARGINESY



Underground: A Human History of the Worlds Beneath Our Feet

COPYRIGHT © 2018 BY Will Hunt

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Kaja Gucio

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2021

*Rodzicom,
którzy zawsze są przy mnie
na powierzchni*

Przyroda lubi się skrywać.

Heraklit z Efezu

Inny świat istnieje, tyle że właśnie tutaj.

Paul Éluard

OZNAKI SĄ WSZĘDZIE. Wyjdź z domu, a natychmiast poczujesz pod stopami drżenie tuneli metra i kabli elektrycznych, omszałych akweduktów i instalacji pneumatycznych, które przeplatają się i zachodzą na siebie niczym nici rozciągnięte na ogromnych krosnach. W cichym zaułku dostrzeżesz parę wodną wydobywającą się z kratki wentylacyjnej, która może prowadzić do ukrytego tunelu, gdzie w byle jak skleconych rudach mieszkają kloszardzi, albo do tajnego bunkra o ścianach z grubego betonu, gdzie uprzywilejowane elity będą szukać schronienia, gdy nadejdzie apokalipsa. Podczas przechadzki po cichych pastwiskach dotknij porośniętego trawą kopca, który być może skrywa grób królowej starożytnego plemienia albo spoczywające głęboko pod ziemią skamieniałe kości prehistorycznego stworzenia o długim, wijącym się niczym wąż kręgosłupie. Krocząc cienistą leśną ścieżką, przyłóż ucho do ziemi, a usłyszysz, jak mrówki budują podziemną metropolię usianą maleńkimi, krętymi tunelikami. U podnóża góry poczujesz ziemistą woń dobywającą się z wąskiej szczeliny, za którą rozciąga się gigantyczna, ukryta jaskinia o kamiennych ścianach

ozdobionych starożytnymi rysunkami wykonanymi węglem drzewnym. I wszędzie tam, gdzie postawisz stopę, poczujesz dochodzące z głębi, z samych trzewi Ziemi drżenie, poczujesz, jak gigantyczne masy kamienia przesuwają się i trą o siebie, a wtedy cała planeta trzęsie się i wibruje.

Gdyby powierzchnia Ziemi była przezroczysta, całymi dniami leżelibyśmy na brzuchu i oglądali ten cudowny, złożony z wielu warstw twór. Ale dla nas, mieszkańców powierzchni żyjących w słonecznym świecie, podziemia zawsze były niewidzialne. Współczesne angielskie określenie podziemnego świata – *hell*, czyli piekło – pochodzi od praindoeuropejskiego rdzenia **kel-*, który oznacza „ukrywać”. Starogrecką nazwę *Hades* tłumaczy się jako „niewidzialne”. Dziś mamy nowoczesne urządzenia – radary i magnetometry, dzięki którym możemy zajrzeć pod powierzchnię Ziemi, ale nawet najlepsze obrazy, jakie do nas docierają, są niewyraźne i rozmazane, a my, jak Dante, na próżno wyteżamy wzrok:

Otom się, widzę, znajdował na skłonie
 Owej bolesnej, piekielnej doliny,
 Co nieskończonych echa jęków chłonie.
 Loch był bezdenny, mgławcy, czarnosiny;
 Źrenice moje, wysłane na zwiady,
 Niczego dobyć nie mogły z głębiny.*

Podziemie wymyka się naszemu poznaniu i pozostaje najbardziej abstrakcyjnym krajobrazem naszej planety – właściwie to raczej metafora niż rzeczywista przestrzeń. Epitetem „podziemny” określa się często zjawiska takie jak nieoficjalny obieg gospodarczy, tajna impreza czy nieodkryty artysta – zazwyczaj opisujemy nie tyle miejsce, ile uczucie: coś zaka-

* D. Alighieri, *Boska Komedia*, przeł. E. Porębowicz, Kraków 1977, s. 14.

zanego, niewypowiedzianego, coś pozostającego poza tym, co znane i zwyczajne.

Jako istoty wzrokowe – jak pisała Diane Ackerman, oczy to „monopoliści naszych zmysłów” – zapominamy o podziemiu. Jesteśmy powierzchniowymi szowinistami. Najślynniejsi odkrywcy kierowali się na zewnątrz i w górę: skakaliśmy po Księżycu, wjeżdżaliśmy łązkami w marsjańskie wulkany i nanosiliśmy na mapy burze elektromagnetyczne w odległych zakątkach Wszechświata. Przestrzeń wewnętrzna nigdy nie była tak dostępna. Geolodzy uważają, że ponad połowa istniejących na naszej planecie jaskiń pozostaje nieodkryta, zakopana głęboko pod nieprzeniknioną skorupą. Wyprawę z miejsca, gdzie się w tej chwili znajdujemy, do środka Ziemi można porównać do podróży z Nowego Jorku do Paryża, a jednak jądro planety to czarna skrzynka, obszar, którego istnienie przyjmujemy na wiarę. Najgłębsza dziura, jaką człowiek wykopał, to znajdujący się w Rosji za kołem podbiegunowym odwiert kolski, sięgający ponad dwanaście kilometrów w głąb Ziemi – mniej niż pół procent odległości do jej środka. Podziemie to widmowy krajobraz, rozpościerający się pod naszymi stopami, zawsze poza zasięgiem wzroku.

Jednakże ja już jako chłopiec wiedziałem, że podziemie nie zawsze było niewidzialne – niektórzy potrafili je dostrzec. W należącym do moich rodziców starym wydaniu *Księgi mitów greckich* czytałem o Odyseuszu, Heraklesie, Orfeuszu i innych bohaterach, którzy zeszli w głąb Ziemi przez skaliste wrota, przepawili się przez Styks na promie Charona, wymknęli trójgłowemu Cerberowi i weszli do Hadesu, krainy cieni. Szczególnie duże wrażenie zrobił na mnie Hermes, posłaniec bogów, odziany w skrzydlaty hełm i także sandały. Hermes był bogiem granic i progów, a także przewodnikiem dusz

zmarłych w drodze do Hadesu. (Nosił cudowny przydomek: psychopomp, co znaczy „przewodnik duszy”). Podczas gdy inni bogowie i śmiertelnicy przestrzegali kosmicznych granic, on nieustraszenie przeskakiwał pomiędzy światłem a ciemnością, między tym, co powyżej i poniżej. Hermes – który wkrótce stał się patronem moich własnych podziemnych wypraw – był jedynym prawdziwym podziemnym odkrywcą; przemierzał ciemność z gracją i wdziękiem, widział podziemie i umiał wydobyć ukrytą pod powierzchnią mądrość.



Tego lata, kiedy skończyłem szesnaście lat, a mój świat skurczył się do niewielkiej i na wylot mi znanej przestrzeni, odkryłem opuszczony tunel kolejowy biegnący pod moją dzielnicą w Providence w stanie Rhode Island. Wspomniał mi o nim wcześniej nauczyciel przedmiotów ścisłych: drobny wąsacz o nazwisku Otter, który znał każdą, najgłębiej nawet ukrytą szczelinę w całej Nowej Anglii. Pan Otter powiedział mi, że tunel obsługiwał niegdyś niewielką linię towarową, ale było to

lata temu. Teraz to była ruina: pełna błota, śmieci, nieświeżego powietrza i kto wie, czego jeszcze.

Pewnego popołudnia znalazłem wejście ukryte pod gąszczem krzaków za gabinetem dentystycznym. Porastały je pnącza bluszczu, powyżej których zobaczyłem wrytą w betonie datę budowy – 1908. Miasto zabezpieczyło tunel metalową bramą, ale ktoś wyciął w niej niewielki otwór: razem z kilkoma kolegami zeszliśmy pod ziemię, przyświecając sobie latarkami. Błoto zasysało nam buty, a w powietrzu wisiała bagnista woń. Sklepienie było usiane skupiskami perłowych, przypominających kształtem sutki stalaktytów, z których kapłała nam na głowy woda. W połowie drogi odważyliśmy się zgasić latarki. Gdy w tunelu zapadła całkowita ciemność, koledzy zaczęli pokrzykiwać, żeby sprawdzić echo, ale ja wstrzymałem oddech i stanąłem bez ruchu, jak gdyby najmniejsze drgnięcie miało unieść mnie w powietrze. Tej nocy w domu wyciągnąłem starą mapę Providence. Powiodłem palcem od miejsca, gdzie weszliśmy do tunelu, do wyjścia na drugim jego końcu. Zamrugałem: trasa wiodła niemal dokładnie pod moim domem.

Tego lata, kiedy nikogo nie było akurat w pobliżu, wkładałem wysokie buty i wchodziłem do tunelu. Nie potrafiłem wyjaśnić, dlaczego tak mnie do niego ciągnęło, a już na pewno nie przyświecał mi żaden konkretny cel. Oglądałem graffiti albo kopałem stare butelki po piwie. Czasami gasiłem latarkę, żeby sprawdzić, jak długo wytrzymam w ciemności. Na ile w ogóle byłem wówczas, jako szesnastolatek, zdolny do autorefleksji, czułem, że te wyprawy nie do końca są w moim stylu: byłem nieśmiałym nastolatkiem, chudym, miałem sporą przerwę między zębami i nosiłem kujońskie okulary. Kiedy moi znajomi zaczęli umawiać się z dziewczynami, ja wciąż trzymałem w pokoju terrarium z żabami drzewnymi. Czyta-

łem o przygodach innych ludzi w książkach, ale sam nigdy nawet nie pomyślałem, by gdzieś wyruszyć. A jednak coś mnie ciągnęło do tego tunelu: nocami leżałem w łóżku, wyobrażając sobie, jak biegnie pod ulicą.

Pod koniec lata, tuż po ulewnym deszczu, właśnie przekroczyłem próg tunelu, gdy nagle z ciemności przede mną dobiegł huk. Zaniepokoiłem się i chciałem zawrócić, jednak po chwili postanowiłem iść dalej, choć hałas coraz bardziej się natężał. W głębi znalazłem jego źródło: pęknięcie w sklepieniu – być może pęknięta rura albo jakiś wyciek, z którego woda spływała kaskadą w dół. Bezpośrednio pod strumieniem dostrzegłem przewrócone plastikowe wiaderko plażowe. Potem wiadro po farbie. A potem moim oczom ukazała się masa przewróconych pojemników – beczki po oleju, butelki po piwie, plastikowe pudełka, kanistry po benzynie, puszki po kawie – całe to gigantyczne zbiorowisko ułożone w tajemniczych okolicznościach przez osobę, której nigdy nie spotkałem. Woda bębniła o naczynia, echo niosło się daleko, a ja stałem bez ruchu w ciemności.

Minęły lata, a ja zapomniałem o tych podziemnych wyprawach. Wyjechałem z Providence, poszedłem na studia, ruszyłem dalej. Jednak moje poczucie więzi z tunelem nigdy do końca nie zniknęło. Tak jak nasiono po cichu ukorzenia się i dojrzewa, ukryte w ziemi, a potem kiełkuje na powierzchni, tak moje wspomnienia o tunelu kiełkowały przez lata w głębi mojego umysłu. Dopiero znacznie później, po serii nieoczekiwanych spotkań z podziemiem Nowego Jorku, powróciły stare wspomnienia o tunelu i tajemniczym ołtarzu z wiader, i to z siłą, która wyrzuciła do góry nogami całą moją wyobraźnię, gruntownie zmieniając to, jak o sobie myślałem i jak postrzegałem swoje miejsce w architekturze świata.

Z czasem pokochałem podziemie za jego ciszę i echo. Podobało mi się, że nawet najkrótsza wyprawa do tunelu czy jaskini jawi mi się niczym ucieczka do równoległej rzeczywistości; czułem się jak bohater książki dla dzieci przechodzący przez portal i znikający w tajemniczym świetle. Podobało mi się, że podziemie oferuje coś na kształt przygód Tomka Sawyera, a jednocześnie otwiera mnie na konfrontację z odwiecznymi, najgłębszymi lękami ludzkości. Uwielbiałem opowiadać historie o podziemiu – o obiektach odkrytych pod ulicami miasta czy rytuałach odprawianych w głębi jaskiń – i patrzeć na zachwyty w oczach znajomych. Przed wszystkim urzekali mnie marzyciele, wizjonerzy i ekscentrycy, których podziemie przyciągało: ludzie, którzy usłyszeli coś w rodzaju syreniego śpiewu i oddali się odkrywaniu, tworzeniu sztuki lub modlitwie w podziemnym świetle. Ludzie pogrążeni w obsesji w sposób, który chyba rozumiałem, a przynajmniej chciałem zrozumieć. Myślałem, że może właśnie tam, w ciemności, znajdę coś w rodzaju przewrotnego oświecenia.

Po kilku latach udało mi się przekonać fundację badawczą, następnie redakcje różnych czasopism, a z czasem wydawcę książek do wyasygnowania funduszy, po czym wydałem te pieniądze – a potem kolejne – na badanie podziemnych przestrzeni w różnych częściach świata. Przez ponad dekadę odwiedzałem kamienne katakumby i opuszczone stacje metra, święte jaskinie i bunkry atomowe. Początkowo chciałem po prostu zrozumieć źródło swojej fascynacji, ale z każdym kolejnym zejściem, gdy dostosowywałem się do rezonansów podziemnego krajobrazu, wyłaniała się bardziej uniwersalna narracja. Pojąłem, że my wszyscy, cały gatunek ludzki, od zawsze słyszeliśmy cichy zew podziemi, że wiąże nas z tą sferą więz tak mocna jak ta, która nas łączy z własnym cieniem. Odkąd nasi przod-



kowie zaczęli opowiadać historie o zamieszkiwanych przez siebie terenach, jaskinie i inne przestrzenie rozpościerające się pod naszymi stopami przerażały nas i zachwycały, kształtują nasze koszmary i fantazje. Odkryłem, że podziemne światy od niepamiętnych czasów biegną przez naszą historię niczym tajemniczy wątek: subtelnie i jednocześnie głęboko kształtują nasz sposób myślenia o sobie i nadają formę naszemu człowieczeństwu.

PODZIEMIE OTWIERAŁO SIĘ POWOLI, szczelina po szczelinie – a potem nagle rozwarło się na oścież, niczym kłapa zapadni pod stopami. Zaczęło się pierwszego lata w Nowym Jorku, kiedy pracowałem w redakcji czasopisma na Manhattanie i mieszkalem na Brooklynie z ciotką i wujkiem oraz dwoma kuzynami, Russellem i Gusem. Jako nastolatek całymi latami wyobrażałem sobie samego siebie jako przyszłego nowojorczyka chodzącego na długie, ekstatyczne nocne spacery po dzielnicy, chłonnącego każdą kropelkę światła wydobywającego się z okien mieszkań. Tymczasem w rzeczywistości miasto okazało się nieprzeniknione. Kuliłem się w tłumie, jąkałem się w rozmowie z barmanami i wysiadałem na niewłaściwej stacji metra, po czym krążyłem po Brooklynie, czując się jak ostatni prowincjusz i wstydząc zapytać o drogę.

Pewnego wieczoru miasto szczególnie mnie przytoczyło. Czekałem właśnie na metro na Dolnym Manhattanie, na jednym z tych głęboko położonych peronów, gdzie w letnie noce niemal czuć zapach granitowej skały macierzystej, kiedy nagle zobaczyłem coś, co mnie zaskoczyło. Z ciemności tunelu wyłonili się dwaj młodzi mężczyźni: na głowach mieli opaski z lampami czołowymi, a ich twarze i dłonie były czarne od

sadzy, jak gdyby całymi dniami wspinali się w głębokiej jaskini. Szybko weszli na tory, wskoczyli na peron tuż przede mną i zniknęli na schodach. Tamtego dnia jechałem do domu z czołem przyciśniętym do okna wagonu; szyba zachodziła mgłą od mojego oddechu, a ja wyobrażałem sobie tajemniczą strukturę o kształcie plastra miodu, ukrytą pod ulicami.

Młodzi mężczyźni w czołówkach to miejscy odkrywcy, należący do luźnej konfederacji nowojorczyków zajmujących się infiltracją niedostępnych i zamkniętych przestrzeni pod powierzchnią miasta. To królestwo składało się z wielu plemion: jedni byli historykami i dokumentowali niezwykłość zapomnianych miejsc, inni – aktywistami, którzy wkroczyli na teren Nowego Jorku, aby symbolicznie odzyskać skomercjalizowane obszary; jeszcze inni to artyści montujący tajne instalacje i inscenizujący performance’y na mrocznych poziomach miasta. W tych pierwszych tygodniach, kiedy ciągle uczyłem się topografii Nowego Jorku, nocami studiowałem zdjęcia odkrywców ukrytych miejsc – opuszczonych od dziesiątek lat stacji metra, głębokich komór zaworowych w systemie wodociągów, zapomnianych, pokrytych pyłem schronów przeciwlotniczych – a wszystkie one jawiły mi się równie egzotyczne i tajemnicze, co przedwieczne potwory morskie w głębinach oceanu.

Pewnej nocy przeglądałem archiwa jednego z odkrywców, kiedy nagle dotarło do mnie, że oto patrzę na zdjęcie tunelu w Providence, który eksplorowałem jako chłopiec. Nie myślałem o tym miejscu od lat: pojedynczy tor znikający w ciemności, rok 1908 wryty nad wejściem. Było w tym przypadkowym znalezisku coś niemal niepokojąco intymnego, jak gdyby ktoś sięgnął w głąb mojego umysłu, otworzył właz i pozwolił wypłynąć na powierzchnię całemu mnóstwu zakopanych wspomnień. Ustaliłem, że zdjęcie zrobił niejaki Steve Duncan,

człowiek czarujący i błyskotliwy, a być może i obłąkany, który w przyszłości miał zostać moim pierwszym przewodnikiem po podziemiu.

Poznałem go pewnego popołudnia na zwiadowczej wyprawie na Bronx, gdzie Steve planował wejść pod ziemię przez starą rurę kanalizacyjną. Był jakieś sześć czy siedem lat starszy ode mnie, jasnowłosy i niebieskooki, o szczupłej sylwetce wspinacza skałkowego. Eksplorację zapomnianych przestrzeni odkrył na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Columbia, kiedy to po raz pierwszy zagłębił się w system tuneli technicznych pod kampusem. Pewnej nocy przecisnął się przez otwór wentylacyjny w ścianie i wyłonił się w komorze zagrzonej pokrytym pleśnią sprzętem naukowym. Był to magazyn używany w pierwszej wersji przedsięwzięcia, które ostatecznie zasłynęło jako projekt Manhattan. Pękata, zielona maszynieria w centralnej części pomieszczenia okazała się oryginalnym akceleratorem cząsteczek: osobliwym klejnotem historii, ukrytym przed oczami postronnych.

Fascynacja przerodziła się w pasję, a Steve szybko zmienił specjalizację z inżynieryjnej na historię miejską. W przerwach od nauki zaczął badać tunele kolejowe, potem przywdziewał wodery i brnął kanałami, a wkrótce zaczął wspinać się na szczyty wiszących mostów, skąd robił zapierające dech w piersiach, szczegółowe zdjęcia miasta. Przez lata kreował się na partyzanckiego historyka i fotografa i zdobył ogromną wiedzę na temat nowojorskiej infrastruktury. (Wydział Ochrony Środowiska, monitorujący miejskie kanały, od czasu do czasu próbował zatrudnić Steve'a, przyzymkając oko na jego nielegalne metody badawcze). Steve miał w sobie jednocześnie coś z kujona i banity: był chudy, w jego głosie wciąż pobrzmiwało echo wady wymowy z czasów dzieciństwa, ale pił jak szewc,

miał zawadiacki uśmiech, który kobiety uwielbiały, i chodził zdecydowanym krokiem. Jako młody mężczyzna zachorował na rzadką postać raka kości w nodze i niemal stracił życie – po tym doświadczeniu we wszystkim, co robił, towarzyszyło mu poczucie gorączkowej żywotności. Potrafił przez całą noc opowiadać o znaczeniu rozmaitych akronimów wytłoczonych na pokrywach miejskich włazów albo objaśniać zmiany natężenia przepływu w dziewiętnastowiecznych europejskich systemach kanalizacyjnych, po czym wyjść do baru i wdać się tam w bójkę.

Tego popołudnia krążyliśmy od jednej kratki kanalizacyjnej do drugiej, świeciliśmy latarkami w głąb i śledziliśmy trasę kanału. Po drodze Steve opowiadał o miejskiej układance ukrytych systemów z czymś w rodzaju ewangelicznej miłości. Wyobrażał sobie Nowy Jork jako gigantyczny zmiennokształtny organizm o wielu mackach, znany mieszkańcom powierzchni jedynie w drobnej części. Misją Steve'a było ponowne połączenie ludzi z ukrytym aspektem świata: chciał, by wszystkie pokrywy włazów w każdym mieście były wykonane ze szkła, dzięki czemu można by w dowolnej chwili zajrzeć pod ziemię.

– Większość ludzi porusza się po świecie w dwóch wymiarach – powiedział. – Nie mają pojęcia, co znajduje się pod nimi. Kiedy widzisz, co jest pod ziemią, to rozumiesz, jak działa miasto. Ale to coś więcej niż tylko to. Widzisz swoje miejsce w historii, widzisz, jak wpasowujesz się w świat.

W Stevie znalazłem wcielenie Hermesa, który umiał dostrzec równoległą topografię. „Wierzę, że jest tu także wiele rzeczy niewidzialnych”, napisał Walt Whitman w *Żdźbłach trawy*. Steve widział to, co niewidzialne. Ja też chciałem to zobaczyć.

MOJE PIERWSZE ZEJŚCIE było łagodne: przechadzka przez tunel West Side – znany odkrywcom i grafficiarzom jako Tunel Wolności – który biegnie przez mniej więcej cztery kilometry pod Riverside Park na Upper West Side na Manhattanie.

W letni poranek prześlizgnąłem się przez dziurę wyciętą w ogrodzeniu z siatki przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy i stanąłem przed wejściem do tunelu – obszernym, wysokim na jakieś sześć metrów i dwa razy szerszym. Wewnątrz nie było ciemno, panował półmrok: co kilkadziesiąt metrów w sklepieniu umieszczona była prostokątna kratka wentylacyjna, która niczym okno katedry wpuszczała do środka miękkie kolumny światła. Wyruszyłem na niespieszny spacer środkiem Manhattanu. To było jak sen, nie widziałem wokół żywej duszy.



W połowie drogi natknąłem się na ogromny, ponadtrzydziestometrowy mural namalowany przez artystę o pseudonimie Freedom – „Wolność”, tak jak nieoficjalna nazwa tunelu.

Stałem pod przeciwległą ścianą i podziwiałem malowidło, które zdawało się drzeć w świetle. Poczułem powiew delikatnej bryzy i dobiegł mnie odległy hałas ruchu ulicznego na West Side Highway, zmieszany z odgłosami ptaków w parku.

I wtedy w głębi tunelu zobaczyłem gigantyczny reflektor pociągu zmierzającego w moją stronę. Przyklejony plecami do ściany poczułem głębokie drżenie ziemi pod stopami, a potem wszystko naraz: uderzenie światła, gwałtowny podmuch powietrza i ryk, który wprawił moje żebra w drganie. Nie groziło mi żadne realne niebezpieczeństwo – od torów dzieliło mnie dobre pięć metrów – ale kiedy tam przykucnąłem, całe moje ciało się trzęsło, a głowa płonęła żywym ogniem.

Już wtedy, tego pierwszego popołudnia, gdy wyłoniłem się z tunelu i przedostałem przez ogrodzenie w pobliżu rzeki Hudson, moja relacja z miastem zaczęła się zmieniać. Na powierzchni pokonywałem nieustannie tę samą trasę między pracą a domem, podążając wąskim torem doznań zmysłowych; w tunelu wyszedłem poza te granice i połączyłem się z miastem w nowy, organiczny sposób. Czułem się poruszony do głębi, jak gdybym pierwszy raz nawiązał z Nowym Jorkiem kontakt wzrokowy.

Zejsście pod ziemię, przeczołganie się do trzewi miasta, stało się moim sposobem na udowodnienie sobie, że należę do Nowego Jorku, że z n a m to miasto. Podobało mi się, że mogłem opowiedzieć urodzonym i wychowanym na Manhattanie znajomym o starych kryptach pod ich dzielnicą, o których istnieniu nie mieli pojęcia. Na dole przemierzałem podziemne alejki i cieszyłem się, oglądając niewidoczne dla ludzi na powierzchni tekstury miasta: starożytne graffiti, pęknięcia w fundamentach drapaczy chmur, egzotyczne pleśnie na ścianach, gazety sprzed dziesięcioleci wciśnięte w ukryte przed wzrokiem szczeliny.

Nowy Jork dzielił się ze mną sekretami: przeszukiwałem tajne szuflady, czytałem prywatne listy.

Pewnej nocy w okolicy Brooklyn Navy Yard Steve ustawił pomarańczowe pacholki wokół wjazdu i za pomocą żelaznego haka odsunął na bok pokrywę, uwalniając obłok pary. Zeszliśmy po drabinie, ostrożnie trzymając się oślizgłych szczebli, i wyładowaliśmy z rozbrzgiem w kolektorze kanalizacyjnym: miał może cztery metry wysokości, a pośrodku zebrała się kałuża zielonkawej wody. Powietrze było ciepłe, okulary natychmiast mi zaparowały. Trochę się zawahałem na widok zwisających z sufitu długich, śluzowatych sznurów bakterii – nazywanych czule „glutkami” – ale kanał okazał się mniej odstręczający, niż się spodziewałem. Czuć było nie tyle odchodami, ile czymś ziemistym, jak w starej szopie pełnej nawozu. Poświeciliśmy latarkami ponad brzegami gliniastego mułu, przypominającego piaszczystą rzeczną mieliznę, porośniętego kępami maleńkich albinotycznych grzybów. W sezonie migracji przepływały tędy węgorze.



Steve powiedział mi, że z zielonym strumieniem łączył się potok Wallabout Creek, stara arteria wodna, która niegdyś uchodziła do zatoki Wallabout, gdzie obecnie znajduje się Navy Yard. Można było zobaczyć go na mapie z 1766 roku, ale w miarę rozwoju i rozbudowy miasta został zepchnięty pod ziemię, z dala od ludzkich oczu.

Na powierzchni znałem Nowy Jork jako prymitywne, choć żywiołowe zwierzę: dudniło i warczało, wyrzucało z siebie kłęby pary wodnej i wypuszczało tłumy z rozmaitych otworów. Ale tutaj, na dole, nad jednym z jego starożytnych strumieni opływających spokojnie moje stopy, miasto wydało mi się spokojne, a nawet bezbronne. Była w tym intymność niemalże bliska zawstydzeniu, jak wówczas, gdy patrzymy na kogoś, kto śpi.

Po trzeciej nad ranem wspięliśmy się z powrotem po drabinie i przez otwarty właz wyszliśmy na zewnątrz, wprost na zimne powietrze. Gdy się wyłoniliśmy, jakiś młody rowerzysta gwałtownie skręcił, żeby nas wyminąć. Zatrzymał się i zawrócił. Z trudem łapiąc oddech, zapytał: „A wy co za jedni?”

Steve wyprostował się i nabrał powietrza, jak gdyby stał na scenie, a następnie odchylił głowę do tyłu i wyrecytował fragment wiersza Roberta Frosta *Potok w mieście*:

Raz nurt potoku
 Stracono w głąb cuchnącego mroku
 Pod kamiennym brukiem miał płynąć,
 Choć żadną nie skalał się winą,
 Tyle tylko, że w strachu żyć nie chciał.

Z każdą wyprawą pod ziemię miasto otwierało się coraz bardziej, zdradzało mi kolejne sekrety i wciągało mnie coraz głębiej. Jeździłem metrem z notatnikiem w ręce, obserwując



przez okno i zapisując lokalizacje szczelin w ścianach, które mogły prowadzić na opuszczone perony, czyli stacje widma, jak nazywają je grafficiarze. Śledziłem biegi podziemnych strumieni i szukałem miejsc, gdzie można było przyłożyć ucho do kraty i usłyszeć szum wody pod powierzchnią. W szafie trzymałem wodery i ubłocone ubrania, a w plecaku cały czas nosiłem czołówkę. Zacząłem poruszać się po mieście coraz wolniej, zatrzymywałem się, by zajrzeć do otworów wentylacyjnych w metrze, studzienek kanalizacyjnych i wykopów budowlanych, próbowałem ułożyć w całość poszczególne fragmenty miejskich trzewi. Moja mentalna mapa Nowego Jorku zaczęła przypominać rafę koralową usianą ukrytymi wgnieceniami, tajnymi przejściami i niewidocznymi niszami.

Przez jakiś czas przemierzałem miasto jak w transie, wyobrażając sobie, że każda kłapa, każda ciemna klatka schodowa i właz na ulicy to portal do innego poziomu. W Brooklyn Heights odkryłem kamienicę, która z pozoru niczym się nie różniła od pozostałych budynków w okolicy, z wyjątkiem tego, że miała drzwi wykonane ze stali przemysłowej i zaciemnione okna: był to zakamuflowany szyb wentylacyjny prowadzący w dół do tunelu metra. Na Jersey Street w SoHo znalazłem stary właz, który wiódł do dawnego tunelu wodnego zwanego akweduktem Croton, którądy w 1842 roku czterech mężczyzn wyprawilo się na pokładzie niewielkiej drewnianej tratwy ochrzczonej „Croton Maid” na odyseję i pokonało w kompletnych ciemnościach ponad sześćdziesiąt cztery kilometry z Catskills do Manhattanu. Pod Atlantic Avenue na Brooklynie odwiedziłem tunel kolejowy, zamknięty w 1862 roku i zapomniany przez miasto aż do roku 1980, kiedy to Bob Diamond, miejscowy dziewiętnastolatek, zszedł przez właz i odkrył gigantyczną, rozbrzmiewającą echem przestrzeń. (Odkrycie

wprawiło miasto w krótką, gorączkową obsesję – fotografowie na wyścigi robili zdjęcia młodego Boba czołgającego się przez zapomniany tunel). Na wyspie na Bronksie dołączyłem do ekipy poszukiwaczy skarbów; mieliśmy nadzieję odnaleźć okup rzekomo zakopany tam przez człowieka, który porwał dziecko Charlesa Lindbergha. Śledziłem pogłoski o komnatach grobowych ukrytych w metrze, o ścianach pokrytych graffiti sprzed setek lat: przestrzeniach tak nietkniętych i zapomnianych, że gdyby podnieść tam głos, ze sklepienia posypałaby się kaskada piasku. Szukałem starego budynku w Midtown, w którego piwnicy była podobno dziura w podłodze otwierająca się na rzekę, gdzie w ciągu dnia przesiadywali starsi mężczyźni i łowili pstrągi. Opowiadałem te historie tak często, że moi znajomi byli już nimi zmęczeni – jęczeli, gdy podczas spacerów po mieście nieustannie mówiłem o tym, co w danej chwili znajdowało się pod naszymi stopami – ale wówczas nie mogłem się już powstrzymać.

Schodziłem pod ziemię i podejmowałem ryzyko, które zaskakiwało nawet mnie samego. Nocami omijałem znak **ZAKAZ WSTĘPU NA TORY** na końcu peronu, wspinałem się na rampę i zeskakiwałem w dół, gdzie było czarno jak w kominie, a latem gorąco jak w piecu. Na początku wyprawiałem się tam z Russellem, moim kuzynem: w półmroku czuliśmy drobny powiew powietrza, a potem poddźwiękowe drżenie ziemi pod stopami. „Pociąg jedzie” – mówiliśmy szeptem. Słyszeliśmy dźwięk przedstawianych przez zwrotnicę szyn, a potem zza zakrętu wyłaniał się gigantyczny reflektor i oświetlał ścianę tunelu: wdrapywaliśmy się na rampę i wciskaliśmy do wnęki wyjścia awaryjnego; pociąg mijał nas z rykiem, a podmuch powietrza był tak silny, że mógł nas przewrócić. Wkrótce zacząłem schodzić na dół sam; to były impulsywne, improwizowane wyprawy. Czasem,

kiedy stałem na peronie późnym wieczorem po imprezie albo po długiej nocy spędzonej w bibliotece, widziałem nadjeżdżający pociąg, ale w ostatniej sekundzie postanawiałem, że jednak nie wsiądę, tylko podążę jego śladem, tunelem w ciemność. Zdarzało się, że niewiele brakowało, a źle by się to dla mnie skończyło: widziałem niebieskie iskry krzesane przez mijające mnie koła, a ryk pociągu ogłuszał mnie na kilka minut. Późną nocą wracałem do domu oszołomiony, z policzkami umazanymi stalowym pyłem i czułem się, jakbym był jednocześnie wewnątrz własnego ciała i poza nim, jakbym właśnie obudził się ze snu.



Pewnej nocy zauważył mnie w tunelu maszynista, a kiedy wyszedłem na peron, czekało już na mnie dwóch funkcjonariuszy nowojorskiej policji: młodzi Dominikańczycy, jeden niski i gruby, drugi wysoki i chudy. Zakuli mnie w kajdanki,

przycisnęli do ściany i wyrzucili zawartość plecaka na ziemię. Mieli wszelkie podstawy do aresztowania, ale ostatecznie mnie wypuścili. Siedziałem na ławce na ulicy i czułem się jak ostatni idiota: wiedziałem, że gdybym nie był biały, trafiłbym za kratki. A jednak nawet tamtej nocy w drodze do domu przystawałem co jakiś czas i zaglądałem w głąb kratek i włazów.

Na najciemniejszych poziomach natknąłem się na tak zwanych kretów, bezdomnych mieszkających w ukrytych zakamarkach miasta. Pewnej nocy ze Steve'em, Russellem i kilkoma innymi miejskimi odkrywcami spotkaliśmy kobietę o imieniu Brooklyn, która mieszkała pod ziemią od trzydziestu lat. Miała dziobatą twarz i dredy upięte wysoko na głowie. Jej dom, który nazwała „igloo”, był ukrytą w tunelu wnęką, wyposażoną w materac i kilka sztuk koślawych mebli. Brooklyn obchodziła właśnie urodziny: wypiliśmy wspólnie butelkę whiskey, odśpiewała nam składankę piosenek Tiny Turner i Michaela Jacksona i przez chwilę wszyscy się śmiali. Ale potem coś się stało, śpiew Brooklyn ustąpił miejsca glosolalii, i kobieta zaczęła widzieć rzeczy, które nie istniały. Wrócił jej partner – o dziwo też nazywał się Brooklyn – i wdali się w bójkę, wrzeszcząc na siebie w ciemnościach.

Z czasem przestałem opowiadać o moich tajnych wyprawach znajomym i rodzinie, bo coraz trudniej było mi odpowiedzieć na ich pytania, czego właściwie tam szukałem.

PANORAMICZNE SPOJRZENIE
NA UKRYTY KRAJOBRAZ:
OD ŚWIĘTYCH JASKIŃ
I OPUSZCZONYCH STACJI METRA
PO BUNKRY ATOMOWE I STAROŻYTNE
PODZIEMNE MIASTA.

Kiedy Will Hunt miał szesnaście lat, odkrył opuszczony tunel biegnący pod jego domem w Providence. Te pierwsze wycieczki wywołały fascynację — później zwiedzał podziemia w ponad dwudziestu krajach na całym świecie. *Podziemie* to zarówno osobiste zgłębianie obsesji, jak i olśniewające studium tego, jak na przestrzeni dziejów przerażały nas i przyciągały mroczne głębie.

Hunt spotyka podziemiofilów. Śledzi początki życia z zespołem mikrobiologów z NASA ponad kilometr pod Black Hills, obozuje trzy dni z miejskimi odkrywcami w kanałach i katakumbach Paryża, schodzi z aborygeńską rodziną do kopalni sprzed 35 tysięcy lat na australijskim odludziu i ogląda świętą rzeźbę z paleolitu pod Pirenejami.

Podziemie to splot mitologii i antropologii, historii naturalnej i neuronauki, literatury i filozofii. To medytacja nad urokiem ciemności, potęgą tajemnicy i naszym odwiecznym pragnieniem połączenia się z tym, czego nie możemy zobaczyć. Hunt leczy nas z „powierzchniowego szowinizmu”, otwierając oczy na ukryty wymiar planety.

w sprzedaży także



**KUP
TERAZ!**

12
cena 39,90 zł

